ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 18-go Listopada 1897. Nr. 46.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WZGARDZONA.

Obrazek z XVII wieku przez Sta.

(Ciąg dalszy.)

Lecz gdy przyszła kolej na Michała Dąbrowę, ten rzekł:

— Nim powiem, co myślę o wyroku, jednę rzecz jeszcze muszę wiedzieć — i zwróciwszy się do Terki, spytał łagodnie: — Powiedz nam, dziecko, czy ty zawsze taka śpiąca bywasz?... Jeno się nie bój, pozbądź strachu, sąd ci krzywdy nie zrobi — mówił Michał coraz łagodniej, pragnąc uspokoić przerażone dziewczę, — Nic się nie bój... przyjdź do siebie i odpowiedz śmiało: czyś ty zawsze taka śpiąca, czy też tylko tego dnia nie mogłaś snu odegnać?

— Ino... tego... dnia — odparła drżącym, przerywanym głosem, przychodząc wolno do przytomności Terka.

— I nie wiesz, czemu to? Może dla wielkiej gorączki? Alboli spracowana byłaś bardziej?

— Nie, nie! — zawołała Terka żywo, bo łagodny głos i widoczna przychylność Dąbrowy, dodały sierocie dziwnej otuchy. — Ja zawsze tak pracuję, już też nieraz było gorąco, a nigdy nie usnęłam, ale przed tym dniem nie spałam dwie noce, bom chorej Kachny pilnowała.

— A w dzień nie kazała ci się stryjenka przespać?

— Nie. Ja zaś sama nie śmiałam... i nie miałam czasu; roboty okrutnie u nas w domu wiele i musiałam dzieci pilnować i zabawiać je, bo Macioś i Józka mnie nie muszą słuchać, więc ich trzeba ładnie prosić i przypochlebiać się, bo zaś czasem usłuchają, jak mają wolę. I też ładnie się bawiły a ja dopóki chodziłam, to wytrwałam i sen precz odganiałam; ale jak jeno usiadłam, żeby czekać na Maciosia, tak mnie sen chwycił, ani wiem do dziś: jak i kiedy.

— To i prawda! — wyrwał się Macioś. — Co jeno Terka usiadła, przewróciła się na ziemię i już spała, ale ja się bardzo cieszył, bo żeby była nie spała, nie byłaby mi dała grzebać we węglach, a ja chciał, żeby mi się jabłka...

— Cicho bądź głuptasie! — przerwała z gniewem Idkowa synkowi — pewnie Terka tak cię nauczyła kłamać?

Michał Dąbrowa powstał w tej chwili z ławy, oczy mu płonęły ogniem oburzenia, rozkazującym ruchem dał znak Idkowej, aby zamilkła, podniósł rękę do góry i zawołał gorąco, donośnym głosem:

— Jakto! Takie mają być sprawiedliwe wasze sądy? To tę biedną sierotę, opuszczoną, poniewieraną, chcecie wskazać na rózgi? I za co, za co? Więc kiedy niesumienna jędza piętnastoletniemu dziewczęciu każe dnie i noce pilnować chorej i nie spać, potem na cały dzień zada tyle roboty, że ledwie jej dziewczę może wydołać, a przy ciężkiej pracy ma jeszcze pilnować swawolnych dzieci, które jej nie słuchają

i zmuszają do chwilowego spoczynku, w czasie którego zmordowane dziewczę mimowolnie zasypia, a niesforny chłopak, korzystając z tego, grzebie w ogniu i podpali chałupę, to wy za to siec każecie to dziewczę rózgami? Ludzie, macież wy sumienie i rozum?

Sędziowie drapiąc się zawzięcie po głowach, patrzeli zawstydzeni na Dąbrowę, którego twarz pałała szlachetnym zapałem, budząc poszanowanie; on zaś mówił dalej, z wzrastającym ogniem:

— Sami powiedzieliście, że za dzieci odpowiada ten, kto ma nad niemi opiekę. Otóż opiekunką nietylko własnych dzieci, ale także i Terki, boć ona jeszcze na pół dziecko, jest Idkowa. Ta to szelmowska baba nie dała sierocie spać, każąc po nocach pilnować chorej, przeciążała robotą tak, że ta upadała pod nią, więc Idkowa sama winna jest, że się połowa większa wsi spaliła. Tak tedy »wedle słuszności« Idkowa zasłużyła na rózgi i chłosta publicznie powinna być wymierzoną.

Słysząc to baba ledwo się nie wściekła ze strachu, złości i wstydu; padła na kolana i czołgając się do nóg wójta i sędziów, wołała:

— Wójcie, prześwietny sądzie, zmiłujcie się! Zmiłujcie! Nie dajcie mnie chłostać! Ja nie winna, ja nie wiedziałam, że Terka śpiąca! Czemu mi nie powiedziała...

— Toście wy nie wiedzieli, że jak kto dnie i noce czuwa nie jest śpiący? — przerwał Michał; a mała Józka pociągając matkę za fartuch, zawołała:

— Matulu, wyście zapomnieli! Terka mówiła, że okrutnie śpik ją mo...

Idkowa zakryła dziecku dłonią usta, nie pozwalając mu dokończyć; sędziowie się uśmiechali, sąsiadki spoglądały na nią złośliwie, szepcąc pomiędzy sobą, a wójt odkrząknął i ozwał się bardzo poważnie:

— Ano, co prawda, to prawda! Już ci wy Idkowa za swoje dzieci i Terkę odpowiadacie. Michał Dąbrowa sprawiedliwie mówi: wedle słuszności rózgi wam się należą.

Wtem z gromady kobiet wysunęła się jedna i rzekła:

— Jakby prześwietny sąd kazał, tak my wszystkie możemy świadczyć, jako Idkowa okrutnie poniewiera sierotę.

Idkowa swoją kłótliwością dokuczyła wszystkim sąsiadkom, a samolubstwem, twardością, nieużytością oburzała je często na siebie; to też widząc, że sąd się zwrócił przeciw Idkowej, którą uznały za winną nieszczęścia, jakie je dotknęło, zapałały nagle chęcią zemsty i okrutnie uśmiechały im się te baty, które Idkowa miała dostać; postanowiły zrobić wszystko, aby ją tylko nie minęły.

Nie czekając więc wezwania wójta, zaczęły opowiadać jedna przez drugą wszystkie niesprawiedliwości Idkowej względem Terki tak gorliwie, że nagle wyszły na jaw niecne czyny niegodziwej kobiety, które wszystkich przejęły oburzeniem przeciw niej, a współczuciem dla sieroty tak ciężko krzywdzonej. Kumoszki odmalowały Idkową tak czarnemi farbami, że »wedle słuszności« powiesić ją, nietylko ochłostać, było można. Lecz biedny wójt podczas kobiecego krzyku stracił zupełnie głowę i nie wiedział, co robić dalej, zwłaszcza, że przerażona Idkowa, trzymając go za nogi, w niebogłosy wrzeszczała o zmiłowanie.

Dopiero Dąbrowa wybawił naczelnika sądu z tego kłopotu; nakazawszy kobietom milczenie, zawołał donośnym głosem:

— Jeżeli Terki nie uznacie za zupełnie niewinną, tedy ja nie chcę was znać więcej, ani sądzić razem z wami! Lecz i to zapowiadam, że sierotę wezmę pod moją opiekę i skrzywdzić jej nie dam, pókim żyw! Na mnie się targnie, kto na nią rękę podniesie; a ja umiem bronić.

Wójt zamyślił się głęboko, Idkowa włóczyła się znowu na kolanach od Michała do wójta, który ozwał się nareszcie uroczyście:

— Oświadczam tedy, że »wedle słuszności« Terka jest niewinna ognia, który Godów spalił. Winna jest tylko sama Idkowa...

Baba usłyszawszy to, przerwała sędziemu krzykiem i płaczem, tak głoś-

nym i rozpaczliwym, że wstrzymał się z dalszym wygłaszaniem wyroku. Skorzystała z tej przerwy Terka, która złożywszy ręce i patrząc błagalnie na Michała, szepnęła gorąco:

— Wyście tacy dobrzy, nie pozwólcie bić stryjenki, proście wójta, proście...

Dąbrowa z głębokiem rozrzewnieniem patrzał na Terkę; mimowolnym ruchem pogładził jej jasną główkę i szepnął wzruszonym głosem:

— Niech ci Bóg błogosławi, dobre dziecko! — Potem zaczął żywo szeptać do ucha wójtowi, następnie każdemu z sędziów, a oni przytakiwali głowami. Poczem wójt wygłosił taki wyrok:

— Idkowa jest winna, że nam wieś zgorzała, więc za karę ma zapłacić dziesięć złotych na szpital przy naszym parafialnym kościele i to z tych pieniędzy, które po śmierci swego męża Idziego, złożyła w moje ręce. Rózgi, na które zasłużyła darują jej się, ale musi przyrzec, że będzie teraz lepiej dbała o dzieci i nie będzie krzywdziła Terki.

Idkowa, lubo zła na wójta, że zdradził, iż złożyła u niego pieniądze, które w tajemnicy przed Połonką, chciała zachować na stare lata dla siebie, gotowa była przyrzekać wszystko, czegoby żądano, byle tylko ujść chłosty. Złożyła więc uroczyste przyrzeczenie poprawy, a gdy sędziowie zgodzili się na wyrok wójta, sąd był skończony.

Zgromadzony tłum, rozprawiając i śmiejąc się, rozchodził się powoli w różne strony, aby się udać do przerwanych, codziennych zajęć; Idkowa, trzymając dzieci za ręce, szła prędko ku zagrodzie Połonki, gdzie z daleka widać było nagromadzone stosy drzewa i kamieni; uwolniona zaś Terka pobiegła do małej kapliczki nad drogą, aby u nóg Pana Jezusa wylać swoją radość i podziękować Mu za okazane jej miłosierdzie. Biedna sierota czuła, że to Bóg zesłał jej obrońcę i przyjaciela.

V.

Michał Dąbrowa, lubo młody jeszcze, szanowany był bardzo w całej wsi, a słowo jego i zdanie niemałe miały u wszystkich znaczenie, jak się to w czasie sądów wyraźnie okazało. Kochano go i poważano dla jego licznych cnót i zalet, mianowicie zaś dla wielkiego miłosierdzia, z którego słynął daleko, dla rzadkiej roztropności i wielkiej sprawiedliwości.

Ojciec Michała był zamożnym kmieciem w Godowie, z niezwykłem zamiłowaniem i umiejętnością chodził około roli, a majątek jego wzrastał z każdym rokiem. Lecz syn nie wdał się w ojca; od małego miał chęć do wojaczki, praca na roli go nie pociągała, pragnął być tylko żołnierzem. Jakoż skończywszy lat ośmnaście, poszedł z młodym dziedzicem Godowa, panem Markiem na wojnę.

Przed kilkudziesięciu laty, jeszcze król Stefan Batory ustanowił wojsko, złożone z samych włościan, tak nazwaną piechotę łanową. Każdy chłop, który został żołnierzem, uwolniony był od powinności kmiecych, a gdy się odznaczył na polu bitwy, mógł zostać szlachcicem.

Otóż nasz Michał Dąbrowa służył w owej piechocie łanowej i wojował razem z panem Markiem Godowskim. Wojsko polskie uganiało się niemal ciągle z Tatarami, którzy od wschodu zagrażali bezustanku Polsce. Dnia 30-go Stycznia 1644 roku przyszło znowu do krwawej walki pod Ochmatowem; rycerstwo polskie pod dowództwem wielkiego hetmana koronnego Koniecpolskiego, pobiło tam trzydzieści tysięcy Tatarów. Dzielny Michał Dąbrowa tak tam dokazywał, tylu narżnął Tatarów, takiem się odznaczył męztwem i tak wielką okrył się sławą, że zyskał szlachectwo, a piękny i wielki kawał polskiej ziemi, którą jego ojcowie i dziadowie uprawiali, stał się jego zupełną własnością.

Ale drogo okupił Michał to odznaczenie, bo z pola walki i sławy wyniósł ciężką ranę, która mu nie pozwalała być nadal żołnierzem. Wrócił więc do wsi rodzinnej, piękny mundur łanowca zamienił na mundur wieśniaczy i lubo już szlachcic, orał ojczystą ziemię, skrapiając ją teraz, zamiast krwią, potem.

Z czasem nabrał zamiłowania do roli i cichego życia wiejskiego, a jął świecić swym braciom wieśniakom pokorą, gospodarnością i pracowitością.

Pan Marek lubił i szanował dawniejszego towarzysza broni, więc często zachodził do jego zagrody, lub zapraszał go do siebie; razem jeździli na sejmiki i różne zebrania szlachty, gdzie się Michał, bystry i roztropny z natury, bardzo dużo nauczył; naukę zaś swoją i wiadomości obracał na pożytek swych sąsiadów chłopów, u których mimo swej młodości, zjednywał sobie coraz większe zachowanie. Dziedzic wybrał dzielnego wojaka na ławnika, to też niejeden w Godowie zawdzięczał mu rozumne i sprawiedliwe rozsądzenie swej sprawy.

Dziś uwolniwszy Terkę od hańbiącej kary, wracał Dąbrowa wesoło do domu, dziwując się w duszy, że nie znał dotąd sieroty; nie było to przecież nic dziwnego, bo zagroda Michała leżała na ustroniu pod lasem, dość daleko ode wsi, a Terka z obawy prześladowania, nie wychodziła, jak wiemy, często z domu.

Słońce już było zaszło, tylko blask wieczornej zorzy rozświecał jeszcze niebo, gdy Michał zbliżał się do kapliczki, stojącej nad drogą, którą musiał przechodzić, chcąc się dostać na drogę, wiodącą do jego zagrody.

Wtem zamajaczyło coś na drodze, wysoka, drząca postać zbliżyła się do młodego ławnika, a nim poznał kogo ma przed sobą i co zamierza zrobić, już Terka (bo ona to była) objąwszy jego kolana, ucałowała mu rękę w milczeniu i uciekła.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołał Dąbrowa, żegnając się — A to co? Zkąd się wzięła, gdzie się podziała? — i oglądał się dokoła, ale dziewczęcia nie było śladu.

Postawszy długą chwilę ruszył Dąbrowa ku domowi, głęboko zamyślony. Wdzięczna postać opuszczonej, wzgardzonej sieroty nie schodziła mu z oczu i myśli. Całe zachowanie się Terki wobec sądu, jej odpowiedzi, zeznania dzieci i sąsiadek, dały mu poznać czystą, niewinną duszę dziewczęcia, ale zarazem ze zgrozą dowiedział się, jak okropne musiało być życie w domu stryja, zimnego samoluba, pod opieką niegodziwej stryjenki, tej biednej sieroty. Prośba zaś jej, aby Idkową uwolniono od chłosty, ukazywała w całym blasku szlachetny charakter Terki.

Michał myśląc o tem, był dziwnie wzruszony, nareszcie zaczął mówić do siebie półgłosem, przystając co kilka kroków:

— Hm! szkoda! Gdybym miał matkę, albo siostrę w domu, wziąłbym to biedne dziecko do siebie; pewnieby ten kutwa Połonka i godna go Idkowa z chęcią pozbyli się sieroty; kością im ona bodajnie w gardle. Z całego serca wziąłbym, bo się tam zmarnuje, ale samotnemu nie uchodzi jakoś... Gdyby była młodsza... no, ale tak... za rok dwa, będzie mogła przyjąć swaty. A gdyby tak była starsza?... Szkoda! Ale nie uchodzi... nie! Ja trzydzieści lat skończę za trzy niedziele, a ona ma dopiero piętnasty. Biedna kochana sierota! Taki kołek na Bożym świecie... pomiędzy tymi niegodziwcami...

Dąbrowa postał długą chwilę, potem westchnął i szybko pospieszył ku domowi, przecierając ręką czoło, jakby jakie myśli chciał z głowy odpędzić.

Tymczasem Terka, podziękowawszy Panu Bogu i swemu obrońcy, podążyła żwawo do domu, gdzie niestety, teraz prawdziwe piekło było dla niej. Idkowa mściła się jak tylko mogła na dziewczęciu za swój wstyd i strach jakiego na sądzie doznała; Mateusz zaś, nie uwierzywszy w niewinność sieroty, był dla niej coraz surowszym, coraz straszniej patrzał na biedaczkę, nie mogąc jej darować straconego mienia; często też mówił z cicha niby do siebie, ale zawsze przy Terce i tak, aby ona słyszała:

— Ta dziewucha wpędzi mnie do grobu, przez nią tylko jestem taki nieszczęśliwy... Ja już nie wiem, co robić, aby powetować straty... Ona tylko, ona

winna mojej niedoli i śmierć moją będzie mieć na sumieniu.

Jakoż na prawdę Połonka zabijał się niemal pracą; z gniewem szedł do roboty, w ponurem milczeniu pracował za trzech, czeladź też pędził niesłychanie, tak w Połonki zagrodzie jeszcze przed zimą stanęła okazała chata i najniezbędniejsze budynki gospodarcze. Inni pogorzelcy podążali za Mateuszem, jak mogli i coraz więcej bieliło się nowych domów w Godowie.

Jesień była tego roku bardzo piękna, pogoda i ciepła służyły do samych gód prawie; ale ku wielkiemu przerażeniu ludności, zaczęły się pojawiać ni ztąd ni z owąd ciężkie choroby; szeptano nawet po cichu o morowem powietrzu, które miało się pokazać tu i owdzie w kraju.

W ciągu zimy jednak niewiele osób marło, pewna otucha wstępowała w serca mieszkańców. Aż nagle nowy niepokój ogarnął wszystkich; z początkiem roku 1652 zaczęły się pojawiać nadzwyczajne zjawiska w naturze, z których zabobonni ludzie wróżyli straszne klęski i nieszczęścia. I tak w Marcu było wielkie zaćmienie księżyca, a w dwa tygodnie później zaćmienie słońca. Do św. Stanisława panowały przymrozki, a potem przyszły nagle deszcze, burze, pioruny i mgły nieprzeniknione, tamując oddech. Rzeki powystępowały z koryt, roli nie można było uprawiać, bo bydło i ludzie topili się w błocie.

Trwoga i niepokój coraz większy ogarniał ludność, gdy wtem przyszła rzecz najstraszniejsza, bo z początkiem Maja wybuchła z całą gwałtownością morowa zaraza, zwana także czarną śmiercią. Zaczęła się ona na Ukrainie, jeszcze minionego roku, jakoś w pewien czas po bitwie pod Beresteczkiem; utrzymywano powszechnie, że wskutek psucia się niepochowanych trupów. Wolno posuwała się zaraza ze wschodu na zachód, aż doszła do Krakowa, w którem to mieście umarło 33.000 osób.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PTASIE GNIAZDKO.

Opowiadanie przez **Kornela Ujejskiego.**

(Dokończenie).

Jezus Maryja! Zabite! zabite!! —
Już leci Jagna! Już ono przykryte
Matką, co padła na dziecko zemdlona...
Nie chcę! nie widzę więcej...
. . . .
Krwią zbroczona,
Dziko patrząca, stanęła przed mężem:
Kto ty? kto ty? Mów!... Tyś zdrajcą i wężem!
Tyś zwodził mnie, świat... Krew była na tobie!
Krew była! Ciebie ktoś przeklina w grobie!
Mnie mówi to — tu!... tylko nie wiem kogo...
Gadaj mi zaraz!
— Nikogo, nikogo...
Jak małe dziecko bełkoce i kwili
Spłakany Janek — i do nóg się chyli.
— Wójta wołajcie!... on kogoś ograbił
Z żywota... Gadaj, kogoś przedtem zabił?!
Tyś zbój! inaczej Bóg by się nie srożył
Nad tobą... Żyłeś, abyś tego dożył!!
Teraz pójdziemy każde swoją drogą...
Tobie kajdany, mnie grób...
— Ja nikogo,
Nikogo... jęczy i tarza się w prochu,
Cały rozbity w rozpaczy i szlochu.
Aże i ona w łzy się roztopiła:
Gdzie moje złotko, gdzie dziecina miła...
Gdzie, gdzie!...
I zwisła w objęciu kum, swatek
Najnieszczęśliwsza na tej ziemi z matek.

U rogu starej chaty on uklęknął
I o słup bije głową, aż słup stęknął;
Potem skamieniał i oczy wyszczerzył
Martwe, jakoby klęczący już nie żył.
Potem się zatrząsł, jak ten, co zaczyna
Zbierać swe myśli i coś przypomina...
Ach, i przypomniał sobie, że na łące,
Jak grom uderzył w ciche gniazdo śpiące!
I nagle podniósł krzyk straszny, gorący:
Tyś Bóg! Wiesz wszystko, Boże wszechmogący!
I padł...
Po kątach kryje się gromada
Milcząca, chmurna, przestraszona, blada.

4.

Jesiennym liściem łatwo wiatr pomiecie;
Było, żem długo wędrował po świecie,
I syt wróciłem świata i hałasu.

Rok temu, w lato, poszedłem do lasu
Użyć zapachu sosen i paproci;
I na pagórku, co mniej się wilgoci,
Tam położywszy się twarzą do góry,
Patrzałem w duszę własną i na chmury.
Przedemną mała łączka, kilka krzaków —
Na łączce kwiaty, w krzakach świegot ptaków.

Głos mnie dochodzi — widzę, niedaleczko
Siedzi na ziemi i trzyma gniazdeczko
Niby pastusze jakieś, chłopak mały,
I powtarzając: Już się wylęgały!...
Jedno o drugie, bije jajka ptasie.
Aż mu nad głową ktoś krzynął: A za się! —
I za czuprynę, i w lico go tłucze,
I raz wraz woła: A ja cię oduczę!...
Po co to robisz?...
— Ja chciał »jajeczniczy«...
Skomli chłopiątko trzymane na smyczy,
A krew mu ciecze z nosa z inną cieczą.
— Masz jajecznicę! Kaleczysz? — kaleczą! —
I znów go tyrpie i okłada szpetnie,
Kto?... Nie zgadniecie. — Dziewczę ośmioletnie.

— Puść go! — krzyknąłem i z ratunkiem spieszę.
Chłopak się wyrwał i już w pole czesze,
A ona stoi, z przerwy zła okrutnie,
W boki się wziąwszy, patrzy na mnie butnie.
— Dlaczego biłaś? — pytam niby w gniewie.
— Biłam, bom mocna; ten pyta, kto nie wie.
A ja znów: Czyjaś?
— Swoja; skąd ciekawość? —
Więc ja inaczej: Jeżeli łaskawość,
Niechże panienka opowie statecznie,
Bo teraz pytam bez gniewu i grzecznie.
A ona na to: Tak, to co innego;
Najstarsza córka ja u ojca swego,
I zwę się Jaguś.
Minęła zła chwila
I już Jagusia do mnie się przymila,
I między nami już śmieszki i fraszki.
I rozpowiada, jak miłuje ptaszki,
Jak u nich w domu, w czereśniowym sadzie
Na bezpieczeństwo ptak swe gniazdko kładzie;
I mówi jeszcze, że źli ludzie gardzą
Ptakiem i bydłem, a pan ojciec bardzo
To nakazują, by kochać zwierzęta,
Bo one sługi, a ludzie panięta,
Jako nauczał nas święty Franciszek.
I ona serce ma lepsze dla pliszek,
Bo każda żwawa i ogonkiem kiwa.
Więc pytam: Jak się jej ojciec nazywa?...
— Jan się nazywa, a »pan wójt« u ludzi,
Wójtem jest w gminie, kochają go chudzi,
I zawsze u nich przed gankiem żebracy,
A ojciec mówią: To także są ptacy,
I choć nie sieją, potrzebują ziarna;
A kto im skąpi, temu praca marna.
I pytam jeszcze, Matka żyje?
— Żyje.
— A dzieci wiele?
— Jest tego jak maku;
Najmniejsze leżeć mogłoby w przetaku.
Idziemy razem, pięknie, pomaleńku,
W miłej rozmowie, jej ręka w mem ręku;
W drugiej zaś niosła leśnych kwiatów snopek,
Pewnie nie mniejszy, jak ów bity chłopek.
— To na co? — pytam,
— Na grób, gdzie nasz Bartek;
Piorun go zablił w czwartek, a dziś czwartek.
— Kogo?
— Braciszka.
— Dawno?
— Mnie na świecie
Nie było jeszcze. Kwiatki nosim w lecie,
W zimie przed lampą modlimy się szczerze.
Ho! ja uczona na wszystkie pacierze.
Ścieżka szła żytem w lewo, zaś na prawo
Moja ścieżyna zieloną murawą.
Gdy przyszło żegnać się, Jaguś tak rzecze:
Ja jegomości powiem, co mnie piecze.
Ja na początku była dla was harda —
Nie mówcie ojcu — bo skóra nie twarda,
A oni biją za to, jak przedwczora,
I wciąż wołają: Pokora, pokora! —
Więc obiecałem i pocałowałem,
A że się znalazł piernik, ten jej dałem,
I poszła lewą ścieżką między żytem,
I utonęła w tem życie zaszytem.

* * *

Ażeby lepiej to, co chciałem, dowieść,
Powiem wam jeszcze niedługą przypowieść.
Był pan — ten człeka sobie przysposobił,
Potem go rządcą i kasyerem zrobił.
Zdając mu kasę, rzekł: Na swe odzienie
Bierz ile zechcesz i na pożywienie;
A żeś łakomnik i nieladajaki,
To bierz dowolnie na różne przysmaki —
Niech wiedzą, żem ci nad miarę życzliwy.
Jeżeli pieniądz znajdziesz zły, fałszywy,
Możesz go zniszczyć; a zgubisz przypadkiem? —
I to nie będzie przeciw tobie świadkiem.
Słowem, rządź kasą w każdej swej potrzebie,
By z dobrą wolą. Spuszczam się na ciebie.
A-no, już kasyer rządzi się i szasta,
Brał na tysiące dla siebie, nie na sta.
Pan nic Na wszystkie rozpuścił się żądze,
Jak woda ciekły mu w ręku pieniądze.
Pan nic. Aż razu pewnego pan widzi,
(Co opowiadać tylko człek się wstydzi),
Że jego kasyer — (bodaj go zdeptali!)
W staw rzuca złoto, a banknoty pali!
Wszystko walorne! — Gadaj, kto ci kazał?
Po co to?
— Abym moją moc pokazał!
Odrzekł — a mówiąc, ani okiem zmrużył.
Powiedzcież — na co taki człek zasłużył?!...
Ten pan, to Pan Bóg — kasa, to zwierzęta —
Kasyer, to człowiek w swej pysze bez pęta.

ZAKŁAD ŚW. KATARZYNY,

DOM PRZYTUŁKU DLA DZIECI I SŁUŻBY ŻEŃSKIEJ W BERLINIE.

Nad Renem, na drugim brzegu od Koblencyi leży na wzgórzu wieś Arenberg, słynąca z pięknego kościoła i wspaniałej kalwaryi, którą rokrocznie liczne tysiące z pobożności lub ciekawości odwiedzają. Przed 35 laty zbudował tamtejszy proboszcz, ks. Kraus, obok kalwaryi klasztorek i oddał go Siostrom trzeciego zakonu św. Dominika, zwanym Dominikankami. Ztąd powołano je do Berlina, gdzie mimo działania zbawiennego t. z. Szarych Sióstr i Boromeuszek, potrzeba jeszcze było bardzo sióstr, zajmujących się ukojeniem rozmaitej nędzy ludzkiej. Gdzież bowiem więcej nędzy cielesnej i duchowej, jak w wielkich miastach, szczególnie zaś w Berlinie!

Staraniem pobożnych dziewic z Prus Zachodnich i Ślązka założono już dawniej na ulicy Karola pod numerem 30, lazaret pod opieką N. P. Maryi Zwycięzkiej. Ten lazaret objęły przybyłe do Berlina Dominikanki i pielęgnowały chorych w domu i poza domem. Przytem miały sposobność poznać tak okropną dolę ludzi, o jakiej na prowincyi wyobrażenia nie miały. Serce im się krajało z litości, gdy widziały dzieci, opuszczone przez rodziców i wydane niejako na śmierć, a pomódz im nie mogły, nie mając środków na to. Nie mniejszym smutkiem przejmowało ich położenie dziewcząt służebnych, które nie znalazły lub straciły służbę w Berlinie. I owe dzieci i te dziewczyny były sierotami bez opieki, narażonemi na wielkie niebezpieczeństwa dla duszy i ciała; im trzeba było spiesznej pomocy. Wprawdzie były już w Berlinie dwa domy sierot, jeden dla chłopców, drugi dla dziewcząt, lecz w nich częścią brakło miejsca, częścią też statuta domowe niektórych dzieci przyjmować nie pozwalały. Cóż począć z sierotkami?

Opatrzność Boska pomogła. Pewnego dnia ofiarowała pewna pani z poza Berlina Siostrom 22,000 marek w tym celu, ażeby za te pieniądze położyć fundament dla zakładu, któryby był domem przytułku dla dzieci i dziewczyn, nie mających służby. Na ulicy Greifswalderstrasse pod numerem 18 znaleziono też posiadłość, nadającą się na to, lecz miała ona 290 tysięcy marek kosztować; 40 tysięcy trzeba było zaraz zapłacić, w kasie Sióstr zaś były tylko 22 tysiące. Lecz Pan Bóg wzbudził znów dobrodzieja, który 20 tysięcy pożyczył; dom kupiono, 40 tysięcy wpłacono, a 250 tysięcy czyli ćwierć miliona zapisano na hipotekę.

Dnia 3-go Maja 1893 wprowadziły się trzy Siostry do tego domu i umieściły się w tylnem skrzydle, w którem przedtem była kuźnia. Na dole urządzono dwie izby dla pomieszczenia dziewczyn służebnych, u góry były izby dla sierotek i Sióstr oraz kapliczka. Ani rok nie minął, a miejsca zabrakło; już przeto na początku 1894 roku przebudowano remizę i szopę na kapliczkę i salkę dla dzieci. Odtąd też odprawiał mieszkający w zakładzie ksiądz codziennie mszę św. w zakładzie. Liczba Sióstr się powiększyła, liczba dzieci i dziewczyn zaś tak wzrastała, że niebawem zakład był za mały. Wiele dziewczyn musiało odejść od furty, wiele dzieci nie mogło znaleść przytułku. Wobec tak wielkiej potrzeby nie pozostało nic innego, jak na miejscu niskiego i niewygodnego domu postawić budynek większy i lepiej urządzony.

Z ciężkiem sercem postanowiły Siostry to uczynić, licząc na pomoc Boga i miłosiernych ludzi. Dnia 30-go Kwietnia 1895 roku, w święto św. Katarzyny z Syeny, patronki zakładu, położono kamień węgielny pod nową budowę i większą kaplicę. Opatrzność Boska czuwała; na wzniesienie kaplicy dał pewien dobrodziej pieniądze, a na zakład uzbierano między katolickim ludem. Już w

rok później, znowu w dzień św. Katarzyny, odbyło się poświęcenie domu i kaplicy, a w ciągu lata przeniosły się Siostry zwolna do nowej siedziby.

Teraz miejsca w zakładzie więcej. To też do końca Października bieżącego roku 223 dziewcząt służebnych bez miejsca i 132 dzieci znalazło tam pomieszczenie. W roku 1896 było 217 dziewcząt a 70 dzieci. Obecnie jest 40 dzieci młodszych niż rok.

Nowy dom i nowa kaplica leżą w byłoby zmarniało, gdyby w zakładzie schronienia nie były znalazły. W domu leżało niejedno z nich na barłogu, bo matka nie żyła, a ojciec musiał iść do pracy; było niejako na śmierć skazane, gdyż nikt o nie nie dbał. Choć czasem mała siostrzyczka kilkoletnia przy dziecku została, jakąż mu mogła dać opiekę, skoro sama matczynej opieki potrzebowała. Gdzieindziej znów ojciec umarł, zostawiwszy wdowę z kilkorgiem dzieci drobnych. Matka musi pracować, aby



Widok zakładu św. Katarzyny w Berlinie.

podwórzu; dom od ulicy jeszcze nie jest przebudowany. Jak na obrazku widać, w samym środku położona jest kaplica, z obu jej stron zaś skrzydła. Jedna część domu przeznaczona na przytułek dla dziewcząt, druga dla dzieci. Sierotki przyjęte nieraz w kilka dni po urodzeniu, wychowują się w zakładzie aż do wyjścia ze szkoły i do obrania sobie zawodu.

Kto poznał stósunki socyalne Berlina, ten pojmie, jak wielkiem jest błogosławieństwem taki zakład. Ileż dzieci przynajmniej niektóre dzieci używić; najmniejsze przyjął zakład na wychowanie. Nieraz są dzieci jeszcze bez chrztu św., w zakładzie dopiero zostają ochrzcone. Nie łatwo sobie wyobrazić, w jakim okropnym stanie znajdują się dzieci, przynoszone do zakładu. Jakże schludnie natomiast pomieszczą się u dobrych Sióstr, które niewyczerpane są w poświęceniu dla biednych dziatek. Któż płaci na utrzymanie tych sierót? Z pomiędzy 132 tylko 20 jest takich, za które rodzice niecoś płacą, wszystkie

inne żyją z Opatrzności Boskiej i ofiar miłosiernych ludzi.

W drugim skrzydle zakładu mieszczą się izby dla dziewczyn służebnych bez miejsca. Każda katolicka dziewczyna może się tamdotąd schronić i tak długo przebywać, aż znów służbę dostanie. Siostry starają się o umieszczenie ich u państwa, przyczem kontraktowo dla nich wymawiają, aby w Niedziele i Święta mogły iść do kościoła. Dziewczyny płacą za to przy wstępie jednorazowo 3 marki i pracują podczas pobytu dla zakładu. Siostry starają się przez ten czas wydoskonalić je w domowych robotach.

Każda inna dziewczyna katolicka, choć jest na służbie, może Niedziele i Święta od 4 do 9 godziny po południu przybyć do zakładu i brać udział w pouczających i rozweselających rozrywkach w towarzystwie Sióstr. I między temi dziewczynami zdarzy się niejedna, która z powodu choroby lub innego nieszczęścia, potrzebuje pomocy.

Zakład św. Katarzyny ma bardzo wielkie zadanie do spełnienia i ponieważ jest biedny, zasługuje na wsparcie. Kto może, niech nie pożałuje ofiary dla biednych dzieci. Posyłać można pieniądze i wszelkie inne dary pod adresem: Siostra Marya Regina Feinen, Berlin N. Greifswalderstr. 18.

Adres zakładu: St. Catharinenstift, Berlin NO., Greifswalderstr. 18, niedaleko dworca Alexanderplatz.

Słowiańskie wyrazy w języku niemieckim.

Napisał J. Piast.

(Dokończenie.)

Z języków słowiańskich przybrali Niemcy nazwy rozmaitych zwierząt, np. z baranków zrobili = die Barankenfelle, z owiec brakowanych czyli przebieranych = die Brakschafe, z wilczury = die Wildschur, z jelenia = das Elenthier, z piskorza = der Schlammpeisker. Rosyjski sobol brzmi »po niemiecku« = der Zobel, czeski szkopec (szkop) = der Schöps (dawniej Schopz), serbski wampir (po polsku upior) = der Vampyr (około roku 1775 germanizowany.) Sokół nazywa się w niektórych okolicach = der Sokerfalk, suka = die Zucke oder Zauke (Linde, Słownik V. 500).

Między roślinami oprócz wyżej wymienionego ogórka, napotykamy następujące wyrazy słowiańskiego pochodzenia: die Zwickel = ćwikła, die Wrucken oder Brucken = brukiew (po rosyjsku brukwa), der Kraen (die Kraentunke) = chrzan (po czesku krzen), der Reitzker = rydzek (rydzy grzyb), die Grauschke (na Ślązku) = gruszka, die Zwetschke = szwestka (na Ślązku) czyli szwaczka (w Prusach), die Wiethe (na Ślązku) = witka i t. d.

O słowiańskiem pochodzeniu świadczą liczne potrawy i napoje, które prawdopodobnie Polakom wcześniej były znane, niż Niemcom. Die Babe = baba, znane pieczywo, które smakowało mianowicie babom i od nich otrzymało swą nazwę, der Plaotz = placek, die Schlischken = śliczki, die Striezel = strucle, die Plinsen z rosyjskiego bliny (blincy), die Kasche = kasza, die Graupe = krupy, krupica, die Krengel (na Ślązku) = okrągłe ciastka, der Koatsch = kołacz i t. d. Z czeskiego klobasa (po polsku kiełbasa) powstał Klobs, z kałdunów = die Kaldaunen, z powszechnie znanego żuru = der Schur, z naszej śmietany (pierwiastek śmiatać) = der Schmeten, z miodu (po czesku med) = der Meth. Der Kwas znaczy, jak u południowych Słowian, najprzód kwaśny napój, potem też gościnę, przy której kwas był używany. Wodki i Samowar poznali Niemcy w Rosyi, die Jause = jużyna czyli podwie-

czorek u południowych Słowian. Die Stippe jest zaprowadzone pod wpływem słowiańskiej stypy, która ma początek u Rzymian (stipare); podobnie powstało niemieckie Koleda z polskiego kolęda, a to znowu z łacińskiego calendae. Słoworód słowiański czasem trudno poznać np. przy rzeczowniku »niemieckim« der Quarg = twarog; w niemczyźnie średnich wieków pisze się jeszcze twarc albo twarges i pochodzi w rzeczywistości od słowa tworzyć, które według Lindego (Słownik V. 750) ma specyalne znaczenie »ser czyli twarog robić«, więc podobnie, jak na Ślązku »działać« ma specyalne znaczenie »masło robić.«

Niektóre wyrazy słowiańsko - niemieckie powstały od pewnych osób lub narodów, które te rzeczy najprzód używały. Litewka oczywiście na Litwie miała swój początek i dopiero później dostała się do pruskiego wojska. Podobnie wędrowała polska bekiesza = die Pekesche, którą Goethe wychwala; ona otrzymała swą nazwę od pułkownika Bekieszy (umarł 1580), przyjaciela króla Stefana Batorego. Krawata przez Kroatów czyli Chorwatów w 17 wieku została we Francyi i Niemczech zaprowadzona i jest więc pochodzenia słowiańskiego. Tutaj można także przypomnieć pewne tańce lub pieśni, które Niemcy od Polaków przyjęli np. die Polonaise, Krakowiak, Mazurka, Polka.

Oprócz wymienionej litewki, bekieszy i krawaty pochodzą jeszcze następujące części ubioru i broni z krajów słowiańskich: Die Juchtenstiefel z rosyjskiego juchta, die Papputschen = papucze, die Kietzke = kiecka, die Joppe = jupa, (po serbsko-łużycku jopa, po czesku župice), der Pallasch = pałasz, die Tartsche = tarcza, die Haubitze = haubica (po czesku hauba = gęba czyli otwór u armaty), der Dolch = tulich (puginał, po kroacku tolich).

Bardzo wiele wyrazów słowiańskich napotykamy w narzeczach niemieckich, gdy chodzi o domostwo, jego urządzenie i otoczenie n. p. die Kathe = chata, die Kalupe = chałupa, die Klitsche = kleczka, klatka, die Kumurke = komórka, die Boblatsche (na Slązku zamiast Balkon) = pawłacz, die Pritsche = prycza, łożysko, die Bude = buda (pochodzi od słowiańskiego budować, bud-u; z niemieckiego »bauen« są urobione rzeczowniki Bau, Bauten, Gebäude); die Pinunse = pieniądze, der Saeger = zegar, die Kule oder Kaule = kula, die Nusche = nóż, die Lusche = kałuża, die Patze = pacyna, die Blotte = błoto, die Jauche = gnojówka (powstało z ogólnie słowiańskiego jucha = krew, polewka, płyn), die Kurzawke = kurzawka, der Kux = część kopalni (Antheil am Bergwerk) pochodzi z czeskiego kus czyli kusek (po polsku kęs czyli kąsek.)

Niektóre wyrazy utrzymały się tylko w pewnych krajach lub okolicach dawniej przez słowiańskie narody zamieszkałych. W Prusach zachodnich napotykamy np. die Boschmenk = Boża męka, die Kämpe = kępa, wyspa, die Traft = tratwa; zaś w Brandenburgii, mianowicie około Berlina, znajdują się jako pozostałość po starodawnych Słowianach liczne nazwy np. Kietz (Rummelsburger Kietz, Lichtenberger Kietz, Spandauer Kietz... powstało ze sorabskiego kheža = chata, później kolonia), die krumme Lanke, die Rohr-Lanke = łąka, das Luch (Rhin-Luch, Pfeffer-Luch, Havelländisches-Luch = łęg, łąki bagniste, w innych językach słowiańskich lug czyli log; z ostatniej formy urobili Niemcy der Lohboden = bagna i t. d.

W ogóle można powiedzieć, że pola, łąki, osady, wsie i miasta w Brandenburgii i sąsiedzkich prowincyach po większej części noszą słowiańskie nazwy, chociaż germanizacya często przemieniła pierwiastkowe brzmienia. Opuszczając tysiące właściwych imion i nazwisk słowiańskiego pochodzenia, o których istnieją obszerne rozprawy, chcemy tylko jeszcze podać niektóre przezwiska słowiańsko - niemieckie. Niemieckie dzieci przezywają Niemcy »die Krabaten« (z rusińskiego »rabiata« = dzieci); czeskiego holomka = (pachołek, siepacz) przerobili na Halunke. Zkąd pochodzi Grobian = (grubiański), Holtei = hultaj, Lotterbube = (łotr albo verlottert, verliedert),

Grober Klotz = (człowiek niezgrabny albo gruba kłoda, kłodzina, kloc, to nie jest zupełnie pewno.

Niemieckie grob pochodzi prawdopodobnie od gruby, glupsch od głupi, kriewatschig od krzywy, pomadig albo pomale od pomału, dowre albo dobre od dobry. Z licznych czasowników, które są na Ślązku rozpowszechnione, zasługują mianowicie na uwagę brudeln = brudzić (brud), grabschen = grabać, grabić, ausbracken = wybrakować, wybrać, peitschen = bić, pietschen = pić, quietschen = kwiczeć, rutschen = ruszać, posunąć się, schlidern = ślizgać się, verbräumen = obramować czyli obrębować, (obrąbić, pierwiastek rąbać). Z polskiego wykudlić powstało ślązko-niemieckie verkudeln, kudły = die Kudeln, czupryna = die Schiprine; pierzyć się (w pierzę podrastać czyli pyszyć się) brzmi po niemiecku sich paerschen. Z tego powstał u pysznych Niemek na Dolnym Ślązku der Paerschel = czubek albo czupryna; inne używają zamiast wyrazu polskiego »niemiecki« Pony-Frisur, w rzeczywistości pół angielski i pół francuzki.

Takich dziwolągów i niedorzeczności jest w niemczyźnie bardzo wiele, chociaż liczne urzędowe i nieurzędowe osoby ciągle nawołują do walki przeciwko wszystkiemu, co nie jest niemieckie. Tutaj na zakończenie chcemy tylko przypomnieć nie logiczne, ani uzasadnione przezwiska dla Górnoślązaków. Flisaków, którzy z mataczkami (po »niemiecku« die Martetschken) jadą na Odrze, obłożyli Niemcy lub zgermanizowani Słowianie »polsko-niemieckiem« przezwiskiem »Martetschkenbauern«, chociaż to nie są gospodarze lub włościanie (Bauern), lecz ubodzy robotnicy. Jeszcze mniej jest uzasadnione pogardliwe przezwisko »Wasserpolaken«; bo tylko bardzo mała cząstka ślązkich Polaków, a nie główni reprezentanci, mieszka lub pracuje przy wodzie. Jeżeli zaś owa nazwa ani zupełnie niemiecka, ani polska jest urobiona ze względu na »zwodniałą polszczyznę (verwässertes Polnisch«), to niechaj Niemcy najprzód zwrócą uwagę na ich własne narzecza (»Wasserdeutsch«), mianowicie na tak zwaną »Wrocławską kłapaczkę.« Pod tytułem »Die Breslauer Klabatschke« wydał Adolf Weiss w roku 1891 obszerną broszurę o narzeczu Wrocławskiem, gdzie napotykamy w 33 oddziałach kilka set wyrazów i i zwrotów nie znajdujących się w zwyczajnych słownikach niemieckich.

MOSTY ZA POLSKICH CZASÓW.

Polska znana była ze złych mostów, dowodem czego jest przysłowie zapisane już przez Rysińskiego za Zygmunta III, stawiająca na równym poziomie: »Polski most, niemiecki post i włoskie nabożeństwo«. Były jednak przyczyny tego złego, o których wiedzieć powinniśmy. A naprzód ta, że Polska jako rodzaj federacyi, potem Rzeczypospolitej, nie miała nigdy rządu samowładnego i sprężystego, któryby przymuszał wszystkich do porządku, ale należała do kilkudziesięciu tysięcy właścicieli ziemskich, którzy wolność swoją uważali za skarb największy na świecie, a odbywając podróże konno, nie zawsze dbali o mosty mniejsze. Budowanie zaś mostów na rzekach większych i utrzymywanie ich w porządku przechodziło możność średniej zamożności szlachcica i ułatwiało grasowanie Krzyżaków, Litwinów, Kozaków, Wołochów, Tatarów, Szwedów i innych sąsiadów, od których Polska jako nie zasłonięta górami i morzami, więcej niż inne kraje w Europie cierpiała. Mały ruch na traktach przy zaludnieniu znacznie mniejszem niż dzisiaj, nie dawał także możności, aby opłata myta mostowego wystarczała na utrzymanie wielkich mostów w stanie pożądanym.

Z tem wszystkiem, sama wspolność

wyrazu most, we wszystkich językach słowiańskich, dowodzi już odległej starożytności zwyczaju budowaniu mostów. Wyrażenia staropolskie: most na rzece słać, posłać, położyć, kłaść, rzucić, pochodzą z czasów, w których pospolite mosty nie były palowe, wymagające większego kunsztu i nakładu, ale podobne do tratew flisackich, pływające, zrobione na klocach w poprzek rzeki na wodę rzuconych, położonych, kładzionych, posłanych. Kunszt wbijania pali był jednak dawno w Polsce znany, skoro kronikarze mówią już o palach granicznych przez Chrobrego w rzeki wbijanych. A i w czasach przedhistorych istniały w dzisiejszej Wielkopolsce mieszkania jeziorne na palach. Na dowód że w Słowiańszczyźnie mosty bywały dwojakie, t. j. czasowe na tratwach i stałe na palach, posłużyć może wzmianka kronikarzy, że w roku 998 Włodzimierz, książę ruski pokonany i ścigany przez Pieczyngów, ocalił życie swoje, ukrywszy się »pod mostem«.

W dokumencie małopolskim z roku 1145 znajdujemy wyraz »mostne«, w roku 1252 »mostowe«, co oznaczało myta czyli cła mostowe, t. j. opłaty za przejechanie mostu pobierane. W dokumencie z roku 1281 wymieniona jest miejscowość »Babin-most.« W wieku 12-tym stałych mostów na większych rzekach nie było, a tylko przeprawiano się promami, lub robiono mosty w razie poważniejszej potrzeby. O takiej n. p. wspomina Długosz pod r. 1147, gdy Konrad III król niemiecki i rzymski w towarzystwie wielu książąt, biskupów i panów na czele kilkudziesięciu tysięcy wojska szedł z Frankfurtu przez Polskę na wojnę krzyżową do Ziemi świętej, (część tej armii szła przez Węgry). Długosz twierdzi, że przez Polskę była droga »bezpieczniejsza« a panujący wówczas w Krakowie Bolesław IV Kędzierzawy, wziąwszy z sobą obu braci swoich: Mieczysława i Henryka, wyjechał na spotkanie Konrada aż do granicy. Podejmował go i całe jego wojsko z królewską wspaniałością, »na większych rzekach kazał mosty ku uczczeniu cesarza stawiać, w dalszej drodze przez Ruś i Wołochy, ugaszczał i podróż ułatwiał jak u siebie.«



Siostry i sierotki w zakładzie św. Katarzyny w Berlinie.

Sypanie grobel i budowanie mostów

należało do najzwyklejszych starań i obowiązków ludności. Ciągnęły się te mosty nieraz na kilkaset i kilka tysięcy sążni, jak to dotąd widzieć można w Pińszczyźnie. Nie dziw też, że wojowniczy Leszek Czarny zasiada na wiecu z rycerstwem i długie toczy narady o budowaniu mostów nowych i naprawianiu starych. Jagiełło przygotowując się tajemnie na wielką wojnę z Krzyżakami (która zakończyła się zwycięztwem pod Grunwaldem w roku 1410), już rokiem pierwej kazał zbudować w Kozienicach, gdzie była puszcza królewska, liczne statki wodne na most łyżwowy. Most ten w chwili rozpoczęcia wojny został Wisłą spławiony do Czerwieńska, dla przeprawienia wielkiej armii z brzegu lewego na prawy. Polacy umieli wówczas lepiej dochowywać tajemnic niż dzisiaj, tak blizcy bowiem sąsiedzi jak Krzyżacy, do ostatniej chwili o budowie i sprowadzeniu mostu nie wiedzieli. Jakoż Dobiesław Skoraczewski taką o tym moście zdał relacyę Wielkiemu Mistrzowi: »Widziałem ten most na statkach dowcipnie zbudowany i na Wiśle położony, po którym w oczach moich wszystko wojsko królewskie suchą nogą przeszło przez Wisłę i najcięższe działa po nim przeprowadzono, a most ani drgnął pod ich ciężarem.« Roześmiał się na to mistrz pruski Ulryk, szydząc z powieści Dobiesława, a zwróciwszy mowę do panów węgierskich, rzekł: »Bajki to są w niczem do prawdy niepodobne, które ten człowiek prawi. Wiemy bowiem, że król polski po Nadwiślu się błąka i usiłuje ale nie może przeprawić się przez rzekę a wiele rycerstwa jego, szukając brodu, potonęło.«

W roku 1414 po raz wtóry Jagiełło zgromadziwszy wielkie wojsko przeciw Krzyżakom, stanął nad Wisłą wprost Zakroczymia — jak pisze Długosz. »A lubo most łyżwowy do przeprawy na Wiśle był już sporządzony, gdy wszelako w tej porze z przyczyny ciągłych deszczów Wisła szeroko wylała, przez dni 8 nie można było rzucać mostu na rzekę, dopóki wody nie opadły.« W roku 1419 Jagiełło po raz już trzeci za swego panowania idąc na Krzyżaków, przeprawił wielkie wojsko polskie po moście łyżwowym przez Wisłę pod Czerwieńskiem. Takaż przeprawa po tymże moście nastąpiła pod Czerwieńskiem w roku 1422 i połączenie się za Wisłą Jagiełły z Witoldem podczas czwartej wyprawy na Krzyżaków.

W latach 1454 i 1455 syn Jagiełły Kazimierz Jagiellończyk ciągnąc przeciw Krzyżakom, przeprawiał znowu ogromne wojsko przez Wisłę pod Toruniem po moście łyżwowym, zapewne jednak nowo zbudowanym. Nazwa miasteczka Mosty, położonego nad Niemnem o 7 mil od Grodna, znana w wieku 15-tym, daje niezawodne świadectwo, że już wówczas istniał na Niemnie most w powyższej miejscowości. Podczas olbrzymiego wylewu Wisły w końcu Lipca 1475 roku, most większy łączący miasto Kazimierz z Krakowem (Wisła płynęła wówczas między Stradomiem i Kaźmierzem) i wszystkie inne mosty około Kaźmierza poznosiła.

Około roku 1563 niejaki Erazm z Zakroczymia, dzierżawca przewozu i cła na Wiśle, podał myśl pobudowania mostu na palach pod Warszawą. Król Zygmunt August polecił uskutecznić to przedsięwzięcie. Drzewo, a mianowicie dębinę na pale, spławiono wodą z puszcz kozienickich i sandomierskich. Pierwsze pale wbito dnia 25-go Czerwca 1568 r. Ukończyła zaś budowę mostu po śmierci króla siostra jego Anna Jagiellonka własnym nakładem, tak iż na zjazd elekcyjny dnia 5-go Kwietnia 1573 r. otworzyć go było można do przejazdu. Ponieważ brzeg warszawski był drewnianymi budynkami zabudowany, dla ochrony więc od pożaru wzniesiono na tym brzegu (wprost ulicy nazwanej odtąd Mostową) wieżę czworokątną z bramą sklepioną. Most ten był podziwem całej Polski a Jan Kochanowski uczcił go pięknym wierszem a raczej trzema sześciowierszami, z których pierwszy tak brzmi:

Nieubłagana Wisło, próżno wstrząsasz rogi,
Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi.
Nalazł fortel król August, jako cię miał pożyć,
A ty musisz tę swoję dobrą myśl położyć:

Bo krom wioseł, krom promów, już dziś suchą nogą
Twój grzbiet nieujeżdżony wszyscy deptać mogą.

Most Zygmunta Augusta istniał przez lat 30, dopóki lody wiosenne nie zniszczyły go w znacznej części roku 1603. Odtąd był wielokrotnie odbudowany bądź na palach, bądź urządzany na łyżwach i przez lody wiosenne niszczony. W latach 1707 i 1829 miała nawet Warszawa po dwa mosty na Wiśle. Od roku 1829 most łyżwowy był już tylko na zimę zbierany, dopóki w latach 1859—1861 nie zbudowano kosztem miejskim wielkiego mostu żelaznego podług projektu inżyniera Stanisława Kierbedzia. W Litwie, gdzie Jagiellonowie jako panowie dziedziczni, mogli energiczniej oddziaływać na administracyę kraju niż w Koronie republikańskiej, niektóre urządzenia porządku publicznego były lepsze jak w Wielko- i Małopolsce. Tak n. p. niektóre województwa litewskie posiadały wybieranych ze szlachty mostowniczych, czyli urzędników ziemskich, których obowiązkiem był dozór nad drogami, mostami i groblami, zwłaszcza na gościńcach większych, którędy panujący przejeżdżali.

Na dworze Radziwiłłów był podobnież mostowniczy tych książąt. Skrzetuski w »Prawie polskiem« powiada: »Mostowniczy od starania o mostach imię ma«. Prawa polskie pozwalały tym obywatelom, którzy znacznym kosztem mosty w dobrach swoich budowali, pobierać cło czyli myto mostowe, »a ktoby cła bronnego (czyli bramnego t. j. brukowego, pobieranego w bramach miast na utrzymanie bruków), mostowego albo wodnego nie oddał, we czwórnasób to nagrodzi.« To się znaczy, że karę za opór, zapłaci poczwórnem mytem. W Krakowie na Wiśle do roku 1315 był tylko przewóz, który w tym czasie Łokietek podarował »ukochanym mieszczanom krakowskim« pod warunkiem, aby przy Wawelu most stały zbudowali.

JAŚ I JOHANN.

(Dokończenie.)

Tymczasem nastały owe czasy, w których rozpoczęto kampanię przeciw wyłącznemu panowaniu niemieczczyzny w restauracyach lwowskich. Zaczęto podawać gościom polskie »spisy potraw«, a Artur obecnie już zastępca płatnika, miał pod »Zielonym zającem« zadanie wypełniania odnośnych formularzy po polsku.

Pewnego razu przeglądając taki dokument, odkryłem w nim nieznane mi dotąd item gastronomiczne które się nazywało: slic garnierowane. Sądziłem, że to dzieło Johanna, zawoławszy go tedy i pokazawszy mu, zapytałem, jakby też te słowa, »śledź garnirowany« brzmiały w drugim przypadku?

— W drugim przypadku — odparł namyślając się — w drugim przypadku, mosze bic marinowane!

Powstrzymałem się od śmiechu i wyjaśniłem mu, o co mi chodzi, dodając do tego treściwy wykład ortografii polskiej, wraz z napomnieniem, że między Polakami powinienby przecie nauczyć się mówić po polsku. Nie tylko wziął sobie to wszystko do serca, ale w jakiś czas potem zasłyszałem, jak w przedpokoju wykładał Arturowi zasady przestawiania śledzi różnego rodzaju i w różnych przypadkach, Artur słuchał go niechętnie i w końcu mruknął coś w tym guście:

— Co on mnie będzie uczył; co mi za pan, ja nie takich panów widziałem.

Miałem wszelkie powody przypuszczać, że wyrażony w ten sposób brak uszanowania, odnosił się do mnie, postąpiłem z nim atoli tak, jakbym o niczem nie wiedział. Inni goście »Zielonego zająca« tymczasem, którzy znać także byli mniejszymi panami, a nie takimi, jakich wi-

dział Artur, i którym on to coraz wyraźniej dawał do poznania w miarę jak mu przybywało najpierw szóstaków, a potem guldenów w kieszeni, byli mniej cierpliwymi a w końcu p. Artur stracił posadę. Nie wyszło mu to atoli na złe, bo mając układ elegancki i ubiór przyzwoity, znalazł miejsce w restauracyi hotelowej, należącej do pierwszorzędnych w mieście. Jednocześnie gospodarz z pod »Zielonego zająca«, będąc w ambarasie o zaufanego i obrotnego płatnika, dowiedział się ze zdziwieniem, że jego Johann z rozmaitych centów, czwóraków i szóstaków, otrzymanych od gości, uciułał już sumkę wystarczającą na złożenie kaucyi, wymaganej od płatnika i wynoszącej zazwyczaj tyle, co dzienny dochód t. j. od kilkudziesięciu do dwóchset złotych reńskich w. a. i więcej. Pod »Zielonym zającem« wymagania nie były wygórowane, i Johann został płatnikiem najpierw na próbę, a później na dobre.

Po kilku latach niebytności, powróciwszy do Lwowa, zastałem moich znajomych obydwóch na urzędzie płatników. Johann był ciągle pod »Zielonym zającem« i poznał mię od razu, nie pozwolił nikomu wyręczyć się w obowiązku zdjęcia ze mnie wierzchnej odzieży, i nie wiedział gdzie mię posadzić, ażeby mi było wygodniej. Artur po różnych, jak się dowiedziałem przejściach, był znowu płatnikiem w hotelu. Ubrany był według najnowszej mody, na ulicy nosił szkiełka na nosie, a w sali suwał lakierowanemi stopami po posadzce i spoglądał po ludziach, w sposób bardzo pyszałkowaty. Ma się rozumieć, że nie raczył mię poznać, natomiast nie zapomniał przy rachunku swojego zwykłego: »16 a 36 jest 68, a 42 jest reński 35; dwie bułeczki i piwo, razem 1 złr. 98 centów«. Johann nigdy nie mylił się w dodawaniu i nie policzył nikomu jednej szklanki piwa więcej, niż się należało.

Szczególnie charakterystyczną była różnica w postępowaniu Jasia i Johanna z tymi gośćmi, którzy potrzebują kredytu. Znam ludzi którzy dziś są wysokimi urzędnikami, a którzy będąc akademikami, bezpłatnymi praktykantami lub auskultantami, nie poginęli z głodu, albo nie zwichnęli karyery jedynie dla tego, że Johann, usłużnością i oszczędnością swoją dorabiając się coraz więcej grosza, udzielał im miesięcznego, kilkumiesięcznego, rocznego, a czasem nawet kilkuletniego kredytu, oczywiście na skromne obiady i wstrzemięźliwe kufelki piwa. Zobaczymy że wcale na tem źle nie wyszedł. Ale niechnoby pod »Zielonym zającem« pojawił się jaki panicz, kazał sobie i towarzystwu podać kilka butelek szampana, dziczyznę, indyki i t. p. i nie zapłacił? Johann nigdyby tego nie zniósł. Gdyby natomiast jaki biedak nie miał pieniędzy na rosół i sztukę mięsa z jarzyną, to aniby był śmiał udać się do Artura, aniby mu też Artur był pokredytował. Za to, wiem z dobrego źródła, że tacy panowie »jakich on widział«, winni mu byli po sto kilkadziesiąt złr. za jedną kolacyę, ale tych stukilkudziesięciu znowu on — »nigdy nie widział«.

Lata płynęły — nie byłem we Lwowie bardzo długo, a gdy wróciłem, jedną z pierwszych moich czynności było pójść pod »Zielonego zająca«. Spojrzałem czule na stary, zakopcony szyld nad piwiarnią, i zatrzymałem się nagle, uderzony zmianą. »Zielony zając« był jak zawsze co do maści swojej w niezgodzie z pojęciami łowców i zoologów, ale był świeżo odlakierowany, a pod nim, najlepszą polszczyzną, na jaką zdobyć się mogą lakiernicy lwowscy, stał napis: »Restauracya i piwiarnia Jana Purzpichlera«. Nie znałem żadnego Jana Purzpichlera. Mimo to wszedłem. Powitał mię znowu jakiś nowy płatnik, spytałem go gdzie Johann?

— Gospodarz? Zaraz przyjdzie. I w istocie pojawił się wkrótce, przedzierzgnięty już tym razem w Jana, mój Johann, obecnie właściciel nie tylko restauracyi i piwiarni, ale i kamienicy w której one się znajdowały. Pojawił się, znowu w ten sam nadskakujący sposób, jak gdyby jeszcze zawsze miał w pamięci owego pierwszego szóstaka, któ-

rego dostał w życiu, albo owego mopsa, od śmierci wybawionego, albo litościwą naukę, jak się pisze »śledź«. Rozgadaliśmy się o dawnych czasach i dawnych znajomych; dowiedziałem się, że ten i ów z dawnych moich głodnych współbiesiadników z pod »Zielonego zająca« jest już takim a takim radcą albo starostą i t. d. Wszystko to zajmowało mię bardzo, i gniewał mię tylko mój Johann, że nie tylko nie chciał siadać, ale oprócz tego, przepraszając mię ciągle, wybiegał co chwila z sali. Przy jednej takiej sposobności wyjrzałem na ulicę i spostrzegłem wyraźnie p. Purzpichlera, jak jakiegoś niezmiernie bladego i wychudzonego człowieka, któremu z pod wystających kości policzkowych śmierć patrzyła, wsadził do dorożki, otulał, i oddawał pod opiekę jednemu ze swojej służby, poczem dorożka powoli ruszyła z miejsca.

— Kto to był, kogo pan wyprawiałeś? — zapytałem gdy wrócił.

Pan dobrodziej nie pamięta? To Świetnicki.

— Jaki Świetnicki?

— To ten Artur, co był najpierw tutaj, a potem w hotelu. Miał później własny interes, i z początku szło mu nie źle, ale się nie szanował... grał w karty... no, pan dobrodziej już wie... Musiał wszystko porzucić i uciekać za granicę. Był w Petersburgu, i tam mu się szczęściło ale znów zaczął hulać i nabawił się jakiejś choroby. Ambasada austryacka wysłała go do Lwowa, bo nie miał ani grosza. Tu nie miał przytułku. Wziąłem go do siebie, myślałem, że się wyleczy, ale lekarze powiadają, że z taką chorobą trzeba go koniecznie dać do szpitalu, więc go wysłałem. Mówią że nie ma nadziei, aby go można wyleczyć.

W istocie pokazało się wkrótce że nie było nadziei, bo Świetnicki zmarł.

KONIEC.

ROZMAITOŚCI.

* **Ławnik** inaczej zwany przysiężnikiem, członek rady lub sądu miejskiego, urzędnik zasiadający na ławie urzędu miejskiego czyli magistratu. Sąd na prawie niemieckiem, najwyższy prowincyonalny miejski, składał się z wójta i siedmiu ławników, którzy przy sądzeniu spraw spełniali obowiązki sędziów, dając swoje głosy na jedną lub drugą stronę. Wójt przewodniczył »ławie«, którą zasiadali »ławnicy«. W Krakowie ławnicy wybierani byli przez rajców, a w pewnych razach przez »wielkorządcę«. Od roku 1475 wójtowie krakowscy mogli być wybrani tylko z grona ławników.

* **Dziecki** lub dedko, był to w Litwie urzędnik książęcy, który jeździł z rozkazami i pilnował ich wykonania lub sam wykonywał. Dzieccy sądzili w imieniu księcia i egzekwowali wyroki za Witolda. Gdy szlachta litewska i ruska otrzymywała od królów polskich prawa obywatelskie na wzór szlachty polskiej, Kazimierz Jagiellończyk dał w roku 1457 przywilej, że dzieccy nie będą posyłani do tych, którzy za pierwszym lub drugim pozwem, sami przybędą do sądu. Żmudzini prosili tegoż króla, aby byli sądzeni przez samego starostę żmudzkiego a nie przez dzieckich. Jak w Koronie wojewodowie i podkomorzowie mieli swoich zastępców zwanych komornikami, tak w Litwie wojewodowie mieli swoich dzieckich. Dzieckować znaczyło w Litwie to, co w Koronie ciążać, t. j. egzekować, fantować. Statut Herburta przestrzega, że kiedy się trafi dzieckowanie albo ciążanie, potrzeba brać tylko tyle, aby stało za to, co ciążają. Gdy za Władysława Jagiełły kazano fantować bydło tym poddanym kościelnym, którzy powinności względem przejeżdżającego króla czynić nie chcieli, dobrego serca królowa Jadwiga rzekła do małżonka: »Dobytek chłopom podzieckowanym jeszcze przywrócić, możemy, ale łzy ich kto ukoi?«

FRASZKI.

* **Aptekarz do ucznia:** »Tu masz cztery funty wieprzowego smalcu. Rozdziel po funcie i włóż do słoików. W żółtych słoikach będzie ten smalec smalcem niedźwiedzim, w zielonym zajęczym, w czerwonych koźlim, a w niebieskich wielorybim!«

* **Nie bój** się malcze, pies nie taki zły, widzisz, że rusza ogonem.

— Ja go też nie z tej strony się boję.

* **Ojciec:** Pij mleczko Janku, mleczko jest najzdrowszym napojem na świecie.

Janek: A czemu tata mleczka nie pije, tylko piwko?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 18-go Listopada 1897. Nr. 46.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Kontusz pochodzi ze Wschodu.

Sułtanowie tureccy dawali za czyny wojenne hanom Krymu kontusze ponsowe ze złotymi guzami. Był to zatem ubiór honorowy najwyższych dostojników. Polacy w walkach ze Wschodem zdobywali kontusze starszyzny tatarskiej i tureckiej w XVI w. i z dumą zwycięzców zaczęli je przywdziewać na staropolskie żupany. Pas, którym opasywano zawsze żupan, przeszedł na wierzch kontusza a od czasu bliższych stosunków z przepychem Wschodu stał się sutszy i bogatszy. Tym sposobem wschodni kontusz w połączeniu z polskim żupanem stał się za Zygmunta III powszechnym ubiorem narodowym. Królewicz Władysław z upodobaniem nosił żupan i kontusz, za co miewał nagany od ojca, przestrzegającego ściśle etykiety dworskiej i strojów przyjętych przez monarchów. Pierwszym królem, który zawsze chadzał w kontuszu, był Jan III. Wielki ten bohater w bitwie pod Wiedniem miał na sobie kontusz sukienny niebieski i biały jedwabny żupan. Kontusz polski różnił się krojem od tureckiego. Noszenie wylotów zarzuconych było przywilejem osób wyższego stanu i poważniejszych. Młodzież, dzieci i słudzy nie śmieli ich tak nosić. Kontusze nosili zarówno mieszczanie jak szlachta, ale dla jednych i drugich był to tylko strój świąteczny godowy, a nie codzienny ubiór, którym pozostał odwieczny żupan. Za Augusta II Sasa najulubieńszym mieszczan ubiorem były perłowe kontusze, czerwone żupany i pasy lite lub jedwabne. W roku 1776 przyjęto kontusz za mundur województw z przepisanemi barwami. W Królestwie kongresowem posłowie sejmów, sejmików i niektórzy sędziowie do r. 1831 w kontuszach zasiadali. Starsi cechów warszawskich przywdziewali kontusze na święta i procesye uroczyste do roku 1845. Kontusik z wylotami bywał także po części strojem Polek. Trącenie wylotem stojącego w tyle uważano za zniewagę. Gdy raz książę Radziwiłł zwany Panie kochanku, wylotem uderzył niby mimowolnie księcia prymasa, brata Stanisława Poniatowskiego, a ktoś z obecnych ostrzegł go, co uczynił, Radziwiłł niecierpiący Poniatowskich, odrzekł: »Nic panie kochanku, ja tak chciałem.«

O jedwabiu.

Jedwab przędzie gąsienica. Motyl, zwany jedwabnikiem, mający grube ciało, biało-żółtawe skrzydła o trzech brunatnych, niepołyskujących się smugach, składa w miesiącu Lipcu do trzysta jajek w wielkości jagieł. Te jajka przechowuje się przez zimę w chłodnem i suchem miejscu. Z wiosną, skoro się ociepli, zaczynają się rozwijać na drzewie morwowem liście, a temi to liśćmi żywią się gąsienice, wylęgające się z jajek jedwabnika.

Ażeby gąsienice mogły się wylęgnąć, trzyma się jajka od czterech do ośmiu dni w należycie przewiewnej i zupełnie suchej izbie. Skoro pierwsze gąsieniczki się ukażą, pokrywa się jajka lekką tkaniną, a na nią narzuca się delikatnych, drobniutko pociętych liści morwowych. Młode gąsieniczki, po przyjściu na świat tak maleńkie, jak cieniutkie a krótkie nitki, przebijają się przez siatkę i czepiają się liści w około, które przenosi się na przygotowane już w tym celu słomianki. Gąsieniczki, dobrze żywione liśćmi morwy, których wielką ilość zjadają, rosną prędko, a po miesiącu rozwijają się do pokaźnej grubo-

ści i długości. Podczas tego czasu zapadają cztery razy w sen, po którym się lenią.

Do pierwszego lenienia podaje się gąsienicom pocięte liście, później całe liście, a w końcu gałązki z liśćmi. To pożywienie daje się im często, aby nie cierpiały głodu. Rzadsze, choć obfite pożywienie nie jest tak dla nich korzystne. Po czwartem zrzuceniu skóry, gąsienice przestają jeść, niespokojnie pełzają na wszystkie strony i szukają dogodnego miejsca, aby się oprząść mogły. Znalazłszy to miejsce, wydają ze siebie nić, którą się osnuwają w przeciągu czterech dni ze wszystkich stron. Naprzód przędzą tkaninę zewnętrzną, która się nazywa floretem, a potem dopiero wewnętrzną, która jest właściwym jedwabiem i zowie się kokonem. Kokon rozwinięty daje nić, czasami przeszło pięć łokci długą, koloru żółtawego. W pięć dni po osnuciu się, gąsienica zamienia się w poczwarkę, a w ośm albo w dziesięć dni potem oddziela się kokon od floretu i odpowiednio układa. Kokony, które w oprzędzie poczwarki co do figury i wielkości mają podobieństwo do gołębiego jaja, bądź zostawia się na dalszą hodowlę jedwabnika, bądź też przeznacza się na jedwab. Pierwsze muszą być koniecznie kształtne i na obu brzegach dostatecznie twarde. W nich poczwarka, zostawiona przez dwadzieścia dni w spokoju, zamienia się w motyla, który przebija kokon i z niego na wierzch się wydobywa. W kokonach, przeznaczonych na jedwab, zabija się poczwarki bądź wrzącą wodą, bądź przez silne napalenie w suchej izbie. Po zgładzenia poczwarek, suszy się kokony a potem zwija się z nich na motowidła oprzęd, który jest właśnie jedwabiem. Jedwabnika, a tem samem i jedwab znano w najdawniejszych czasach tylko w Chinach i Indyach. Do Europy a właściwie do Grecyi, przeszczepił naprzód jedwabnictwo cesarz wschodnio-rzymski Justynian, mianowicie w r. 555 po narodzeniu Chrystusa. Zajęli się tem mnisi. Z Grecyi hodowla jedwabnika dostała się do Włoch, Francyi i Hiszpanii, a nawet i do innych krajów, w których udaje się drzewo morwowe, jedyna karma dla jedwabnika. I u nas możnaby hodować jedwabnika; ze względu jednak na chłodny i zmienny klimat należałoby z tą hodowlą urządzać się sztucznie, t. j. nie na wolnem powietrzu ale w izbach. Taki przemysł, w każdym razie, opłaciłby się dobrze, nawet bez wielkich zachodów; trzebaby tylko kawałek gruntu obrócić na posadzenie drzew morwowych.

Ale hodowla jedwabnika wymaga ze wszech miar wielkiej troskliwości i pewnego poświęcenia się. Nie dla tego przecież jest jedwab tak drogi. Drogość ta raczej tem się tłumaczy, że na 10 kilogramów surowego jedwabiu potrzeba do 100 kilgr. kokonów, a na te znowu więcej niż 100 milionów gąsienic, dla wyżywienia których 150 drzew morwowych nie jest wcale za wiele. Ale też za to jedwab jest pyszną przędzą, posiada śliczny połysk i wielką trwałość. Stąd używa się go na strojne ubrania. Z niego wyrabiają się głównie atłasy i aksamity. Nazwy materyi jedwabnych są różne; zależą od rodzaju tkaniny. Tkaniny powstałe przez połączenie dwu nici jedwabnych, nazywają się: tafet, lustryna, gros, krepa albo gaza, trzech albo czterech satyna albo croise. Nazwę adamaszku albo atłasu otrzymują dopiero te materye jedwabne, których tkaninę tworzy więcej niż cztery jedwabne nici.

Rozmaitości.

* **Testament milionera.** Przestrogę dla synów milionerów stanowi testament króla kolejowego, Pullman'a złożony sądowi w Chicago. Nieboszczyk pozostawił wdowie 1,250,000 dol. i dom mieszkalny, obu zamężnym córkom po 250,000 dol., dwaj synowie zaś muszą się zadowolić rentą roczną w sumie 3,000 dol. Ojciec zaś napisał o nich w testamencie: »Ponieważ żaden z moich synów nie jest tak odpowiedzialnym, jakim, mojem zdaniem, być trzeba, by rozsądnie korzystać z dużego majątku — jestem z przykrością zmuszony przeznaczyć im w ich własnym interesie, taki dochód, jaki jest potrzebny do ich utrzymania.« Pullman już dwa lata temu wygnał ze swego domu synów, którzy trwonili czas na wyścigach i różnych rozrywkach, wzorem złotej młodzieży. Skoro tylko fakt ten stał się wiadomym, porzuciły obu młodzieńców ich narzeczone, panny z najlepszego towarzystwa amerykańskiego. Pani Pullman wszakże kocha bardzo swoich synów i jest dla nich nader pobłażliwa, ztąd, wydziedziczeni przez ojca, nie mają powodu obawiać się o swoją przyszłość, wobec milionów, jakie otrzymała matka.

* **W mieście Cacak** w Serbii stawała w tych dniach przed sądem banda opryszków złożona z 65 główь. Hersztem jej był niejaki Berkicz, który przybrał był tytuł »księcia gór«. Straszliwym był widok tych bandytów, okutych w łańcuchy, mających na sumieniu przeszło 200 mordów, a jeszcze okropniejszym widok kilkudziesięciu świadków, wśród których pierwsze miejsce zajmowali ludzie, których podczas napadów zbrodniarze brali na męki, aż stali się kalekami,

oraz pohańbione kobiety. Sąd skazał herszta i piętnastu zbójów na karę śmierci, resztę na 20 lat ciężkiego więzienia.

* **Balon z aluminium** zbudował pewien inżynier z Berlina. Balon ten zaopatrzony jest w motor, który ma poruszać trzy skrzydła, przeznaczone do sterowania. Wczoraj odbyto z nim pierwszą próbę. Balon podniósł się na wysokość 1000 metrów i po niedługim czasie upadł na ziemię. Próba nadania mu dowolnego kierunku nie powiodła się. — Długo prawdopodobnie będziemy jeszcze musieli czekać na okręt powietrzny, którym by można sterować.

* **Hymn** na cześć cesarza Wilhelma w języka suaheli. Murzyn Mwallima Mbaraka w mieście Dar-es-Salaam, które jest położone w wschodniej Afryce, ułożył pieśń, którą się śpiewa na nutę: »Cześć polskiej ziemi cześć« (po niemiecku: Heil dir im Siegerkranz; po angielsku: God save the King.) Przytaczamy pierwszą zwrotkę w języku suaheli:

Salam kwa wetu bana
Kaizar wa-Virhamu
Bana mkuba na sana
Maarufu hatta Skama
Sisi takupenda sana
Wadogo hatta harima:
Hapana tena hapana
Wewe ndio Kaizari!

Podajemy polski przekład tej pieśni murzyńskiej:

Cześć tobie, Panie, w dalekim kraju,
Cześć, cesarzu Wilhelmie, tobie!
Sławne twoje imie brzmi daleko,
Czcią przepełnieni zbliżamy się do ciebie.
Naszej miłości węzeł łączy nas ściśle
Z tobą, Niemiec ozdobo,
Tylko ty sam, mój cesarzu, ty sam
Masz być naszym cesarzem.

ZAGADKI.

1.

Z następujących głosek: a, a, dy, dzia, dzie, er, ga, ko, kos, le, li, la, liń, mia, my, ne, ne, no, nie, nie, nek, o, o, pa, pak, pos, ra, ri, ron, rze, rum, rat, rzy, rzy, ski, tor, wie, ze, ułożyć wyrazy: 1. Ptak. 2. Rzeka w Ameryce. 3. Cesarz rzymski. 4. Naród starożytny. 5. Góra w Azyi. 6. Tytuł poematu. 7. Bogaty mieszczanin krakowski. 8. Zwierz drapieżny. 9. Zwierzęta górskie. 10. Miasto w Azyi. 11. Pisarz rzymski. 12. Roślina. 13. Wojewoda poznański. 14. Działanie arytmetyczne.

Pierwsze i ostatnie litery, od góry do dołu, utworzą tytuły słynnych poematów.

2.

Wspak pierwsze C dodawszy,
jest sobie zaimek,
Drugie rzeka lub przyimek,
To samo co drugie jest trzecie.
Wspak czwarte, w grze użyć
możecie,
Wszystko zaś razem zebrane,
Oznacza zwierzę nie każdemu
znane.

Rozwiązanie zagadki z Nr. 41:

1.

N
SAN
KARAT
OPOCZNO
KANTYCZKI
NARUSZEWICZ
HOFMANOWA
GRAŻYNA
KOMAR
GIL
ECH
AHN
WRONA
BARWENA
KALASANTY
KRÓLIKOWSKI
LONGOBARDOWIE

2.

D	Ł	U	G	O	S	Z
E	**E**	L	I	K	A	N
E	P	**O**	P	E	Y	A
F	O	R	**T**	E	C	A
G	R	A	Ż	**Y**	N	A
A	L	A	B	A	**M**	A
G	O	S	P	O	D	**A**

Dobre rozwiązanie zagadeo z Nr. 41-go nadesłali pp.: Józef Knopp z Zabrza, p. Zofia Gustawska z Jutrosina i Stanisław Pietrzak, Strzyżewo Kościelne p. Gnieznem.

Co dopiero opuściło prasę dzieło pod tytułem:

DZIEJE ŚLĄZKA

czyli

Historya Ślązka od najdawniejszych aż do najnowszych czasów

przez dr. Konecznego.

Całość obejmuje 506 stron druku i 103 piękne obrazki, wykonane po części podług fotografii, po części podług rysunku Jana Matejki i Michała Pociechy.

Cena bez oprawy 3 marki, w ładnej oprawie 4,50 mrk. z przesyłką franko.

☞ Zamawiać można u wszystkich panów księgarzy, agentów i wprost z

Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

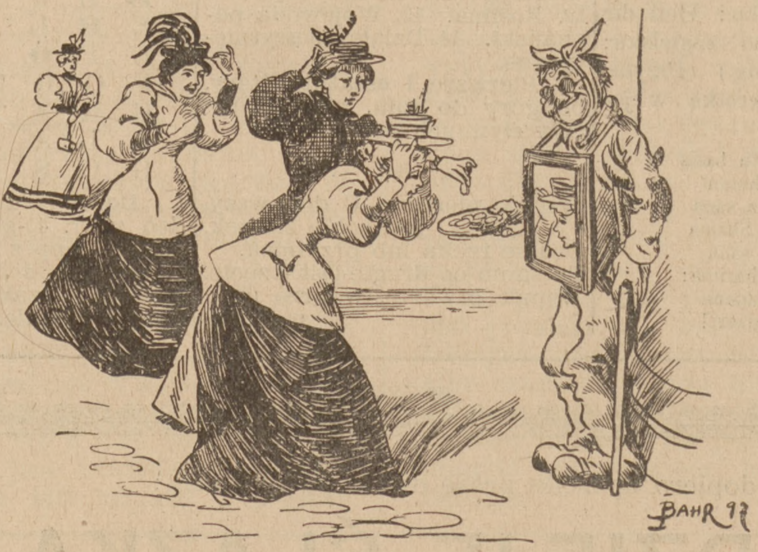
PRZEMYŚLNY ZEBRAK.



1. — Litościwa osobo, proszę o grosik, proszę o grosik... Przechodzi jedna po drugiej, lecz żadna na prośbę moję nie zważa. Twarde serca...



2. — Kiedy nie prośbą, to sztuką, kiedy litości w nich wzbudzić nie mogę, będę próbował za pomocą pychy dopukać się do ich serca.



3. — Jak to uczynił i z jakim skutkiem, to widać na tym obrazku.

„KATOLIK" kalendarz dla wszystkich na r. 1898

obejmuje: kalendaryum na cały rok, jarmarki, śliczne obrazki i opowiadania oraz wiersze, dalej objaśnienie „Składu apostolskiego." — Szczególną uwagę zwracamy na artykuły: **Słów kilka o Tatrach** z 15 obrazkami, **Górnoślązcy posłowie do parlamentu** z 8 obrazkami. Powieści są następujące: Nagroda poświęcenia. Szczęście tylko w ojczystej ziemi, 3 obrazki z doli wychodźców. Chrześcianie w cyrku Nerona. — Przy końcu znajduje się: Podróż psami przez Kamczatkę i Syberyą. Adam Mickiewicz. O chowie królików. Jak się należy obchodzić z mniejszemi ranami, aby uniknąć zakażenia krwi? Przepisy kucharskie o przyrządzaniu różnych potraw z króliczego mięsa. Krótka historya kościoła i klasztoru OO. Bernardynów z opisem obrazu cudownego Pana Jezusa na górze Alwernii w Galicyi (z 3 obrazkami). Żarty w obrazkach i bez obrazków.

Cena 50 fen., z przesyłką 60 fen. — Przy odbiorze 10 egzemplarzy 11-ty w dodatku.

Nabyć można we wszystkich księgarniach i u panów agentów, oraz w ekspedycyi „Katolika." — Poszukujemy rzetelnych ludzi, którzyby pragnęli zająć się jego rozsprzedażą. Udzielamy stósownego rabatu. — Adres: **Wydawnictwo „Katolika" w Bytomiu** (Beuthen O.-S.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu G.-Ś.